

Wilno, czy ty pamiętasz mnie?

Maria Duszka (*Polska*)



Krzysztof Cwynar w latach 70., fot. Zbigniew

Rabiński - prywatne archiwum Krzysztofa Cwynara, źródło:
wikipedia

W 2019 r. za pośrednictwem dziennikarza radiowego Piotra Spottka mój polsko - litewski tomik „Wolność chmur / Debesų laisvė” trafił do rąk Krzysztofa Cwynara. Wiersze tak spodobały się artyście, że kilka miesięcy później zaprosił mnie do warszawskiego Klubu Księgarza, abym zaprezentowała je podczas wieczoru zorganizowanego z okazji jego 77 urodzin. Dzięki temu miałam okazję poznać jednego z ulubionych piosenkarzy z czasów mojej młodości. Wśród gości imprezy było wielu ludzi ze świata muzycznego, m.in.: Ewa Śnieżanka, Lucyna Owsieńska, Andrzej Frajndt i Elżbieta Korczakowska, żona nieżyjącego już Jacka Korczakowskiego.

Krzysztof Cwynar urodził się 30 sierpnia 1942 r. w Wilnie. Jest piosenkarzem, kompozytorem, autorem tekstów piosenek, poetą, animatorem kultury, wielokrotnym uczestnikiem Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie, Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze i Festiwalu Polskiej Piosenki w Wilnie.

Studiował w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera oraz na Wydziale Wokalnym Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi. - *Byłem uczniem profesora Grzegorza Orłowa. On uważał, że ja jestem zjawiskiem*

i „rozchybotał” mi głos, bo lubił vibrato. Ja byłem na to podatny. Zresztą bardzo się lubiliśmy, był to wyjątkowy człowiek – wspomina Krzysztof Cwynar.

Należy do tych artystów, którzy potrafią swoim pełnym ekspresyjnym śpiewem, rozkołysać całą salę. Jako piosenkarz zadebiutował w 1964 roku na Radiowej Giełdzie Piosenki w Warszawie z własną kompozycją „Pożegnania na peronach”. Już w następnym roku wystąpił na Krajowym Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu z utworem „Cyganka” skomponowanym przez siebie do wiersza Władysława Broniewskiego. Zdobył wówczas I nagrodę w kategorii „Nowe głosy” i został zakwalifikowany do występu na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie. Jego wielkie przeboje to także „Kochaj mnie choć kilka chwil” i „Komu w drogę”.

Śpiewał z naszymi najlepszymi orkiestrami: Stefana Rachonia, Henryka Debicha, Bogusława Klimczuka, Jerzego Miliana, Edwarda Czernego i Leszka Bogdanowicza. Jest twórcą wielu piosenek, ballad, utworów kabaretowych, pieśni religijnych, spektakli i przedstawień muzycznych. Wydał 16 kaset i 14 płyt. Koncertował m.in. w: Czechosłowacji, Austrii, Belgii, Kanadzie, Mongolii, Francji, Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim. Skomponowane przez niego piosenki śpiewali m.in.: Anna German, Irena Santor, Krystyna Giżowska, Anna Pietrzak, Jerzy Połomski, Ewa Śnieżanka, Edward Hulewicz, Michaj Burano,

Zofia i Zbigniew Framerowie.

A NIE BYŁY ŁATWE DROGI

Ktoś jeszcze chciałby przemocą zatrzymać ten kruchy czas

Ktoś jeszcze raz chciałby przebiec przez wspomnień
ogromny las

Patrzy jak z rąk się wymyka ostatnia możliwych szans

Nagle rozumie, że dłużej nie umie tak żyć.

Wilno, czy ty pamiętasz mnie?

Wilno, gdzie urodziłem się.

Jest do dziś przy Ostrej Bramie dom

Zawsze był ozdobą moich snom

(...) Nie dziw się dziś w oczach moich łzom, Wilno

To fragment piosenki Krzysztofa Cwynara zatytułowanej „Wilno”.
Choć mieszkał w tym mieście zaledwie 3 lata, to czuje się z nim

bardzo związany emocjonalnie. Niezwykła i pełna wydarzeń graniczących z cudami jest historia osiedlenia się rodziny Cwynarów w powojennej Polsce.

- Mój ojciec poznał moją mamę podczas studiów medycznych we Lwowie. Rodzice pobrali się i tata dostał pierwszą pracę w 1937 r. w Wilnie. Zabrał tam mamę i mojego brata - wspomina piosenkarz. - Tam się urodziłem w 1942 r. Pewnego dnia mama wyszła ze mną na spacer. Ja niedawno nauczyłem się chodzić i byłem bardzo dumny, że idę sobie po ulicy. Naprzeciwko mnie szła brązowa suczka z posiwiąłym pyskiem. Prowadziła ją na smyczy młoda dziewczyna. Ja od pierwszego wejrzenia polubiłem tę sukę. Ona była mojego wzrostu. Objąłem ją i nie chciałem jej puścić. I ta młoda Litwinka uzgodniła z mamą, że pójdzie z tym psem do naszego domu. I one się do tego stopnia dogadały, że jak mama jeździła do pracy, to ona się mną opiekowała. Miała na imię Bronia.

Tata zorganizował podziemny kurs dla polskich pielęgniarek, żeby w razie potrzeby mogły się opiekować rannymi Polakami. Za to dostał bardzo wysoki wyrok od Rosjan. Trafił do więzienia. A jednocześnie Rosjanie szukali osoby, która poprowadziłaby taki kurs dla ich kobiet. I jego przyjaciel, rosyjski lekarz powiedział, że tylko mój ojciec może to zrobić. Znał wiele języków, między innymi rosyjski, więc mógł prowadzić taki kurs. Rosjanie wypuścili go z więzienia, ale nie zdjęli wyroku. Ojciec wiedział,

że może być różnie. Wtedy ten jego przyjaciel dowiedział się, że jedzie pociąg do Polski. Poradził, aby rodzice wzięli tylko najłżejsze rzeczy i uciekali do tego transportu. Sam miał zastąpić ojca i poprowadzić kurs dla rosyjskich pielęgniarek.



Krzysztof Cwynar podczas wieczoru z okazji 77 urodzin w warszawskim Klubie Księgarza, 2019 r., fot. Maria Duszka

To był luty, straszna zima. Wsiedliśmy do pociągu towarowego. Ten człowiek, który prowadził lokomotywę, zatrzymywał ją co jakiś czas i zbierał od ludzi biżuterię i pieniądze. A jak już wszystko wziął, to odłączył lokomotywę i wrócił do Wilna. A nas zostawił w tych nieogrzewanych wagonach w polu. Nie dojechalismy nigdzie. I wtedy mój ojciec, choć miał początki gruźlicy, poszedł pieszo do Białegostoku. Ludzie zamarzali w

sąsiednich wagonach. A jak Bronia dowiedziała się, że my wyjeżdżamy, powiedziała swoim rodzicom, że nie może żyć beze mnie i pojechała z nami. I to był cud, bo ona zniknęła gdzieś w lesie i od jakichś partyzantów, albo ludzi mieszkających w okolicy przynosiła mleko, chleb i bimber. To wystarczało tylko dla tego naszego jednego wagonu. Uratowała życie nam i jeszcze paru osobom, a reszta zamarła.

Po pięciu dniach tata przyjechał z Białegostoku lokomotywą, którą załatwił mu ówczesny minister aprowizacji i handlu, a później minister zdrowia, Jerzy Sztachelski. Podłączyli tę lokomotywę, przyjechaliśmy do Białegostoku. Sztachelski dał nam samochód towarowy i pojechaliśmy do Albigowej pod Łańcutem, skąd pochodził mój tata. Dom dziadków był poza wsią, w takim sadzie. Wydawało się, że możemy się tam już czuć bezpiecznie. Sielanka trwała jednak bardzo krótko, ponieważ pewnego dnia przyszła banda UPA, poobcinali głowy koniom, krowom i świniom, a potem wyciągnęli nas z domu. Staliśmy w tym zimowym sadzie, tata trzymał mnie na rękach. Znam to z opowieści mojego brata... I stał się kolejny cud. Nagle ten herszt bandy zaczął się uważnie przyglądać mojemu ojcu, podszedł do niego i powiedział „Staszek?”. I wtedy tata go poznał. Oni razem studiowali medycynę we Lwowie. Ten herszt był z wykształcenia lekarzem. Puścił nas wolno.

Stamtąd pojechaliśmy do Krakowa, bo tata dostał pracę w

szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie. Po kilku latach przenieśliśmy się do Lublińca. Tata założył tam klinikę psychiatryczną. Ku zgrozie władz partyjnych, poświęcił ją jego kolega, ksiądz Roman Indrzejczyk; po latach zginął w katastrofie smoleńskiej. W 1957 r. zamieszkaliśmy w Łodzi, gdzie tata został dyrektorem kliniki. Cały czas pracował też naukowo, był profesorem i prorektorem łódzkiej Akademii Medycznej. W latach 1970 – 1984 mieszkałem w Warszawie, a po śmierci ojca wróciłem do Łodzi. Ja kocham to miasto, jestem absolutnym jego fanem – wyznaje Krzysztof.

*

WIGILIA Z DUCHEM

Zmiany miejsc zamieszkania wiązały się ze zmianami obyczajów. Także tych świątecznych.

– Gdy z Wilna przyjechaliśmy po wojnie do Krakowa, obchodziliśmy nadal święta w stylu wileńskim. Była kutia, śliżyki, barszcz z uszkami, karp. Było pięknie. Żyli jeszcze dziadkowie. Była moja wileńska niania, Bronia. I suczka Muszka. Tata śpiewał pięknym barytonem kolędy. W 1952 r. zamieszkaliśmy w Lublińcu, Tam w czasie Wigilii nagle zobaczyłem, jak do stołu podchodzi mój dziadek, który nie żył już od dwóch lat. Spojrzałem na tatę i widziałem, że on go też widzi. Tuż za

oparciem krzesła postać dziadka rozplynęła się w powietrzu.

Tata uściskał mi rękę i pokiwał głową bez słów.

- Gdy zamieszkaliśmy w Łodzi, nasze wigilie zaczęły ulegać zmianie – pojawiły się trochę inne potrawy, a barszczyk z uszkami powoli ustępował zupie grzybowej. Gdy pobraliśmy się z moją żoną Jolą, wigilie były już łódzkie. Po śmierci moich rodziców coraz mniej nas było przy stole. Gdy umarła Jola, wigilie były już tylko trzyosobowe – jej siostra, mój brat i ja. Po ich śmierci zostałem sam. Teraz na wigilię zapraszają mnie przyjaciółki prowadzące ze mną Studio Integracji: Małgosia Grzesiak i Ania Pietrzak. Jestem im wdzięczny, że dzięki nim nie zostałem sam. A o północy posłucham, co mówią do mnie moje trzy koty. – opowiadał Krzysztof Cwynar w świątecznym wydaniu radiowej audycji „Pod wielkim dachem nieba” w 2020 r.

TO NIE MOŻE BYĆ KIOSK Z BYLE CZYM

Krzysztof wciąż uważnie obserwuje życie muzyczne. Kto się jego zdaniem wyróżnia?

- Spośród współczesnych wykonawców cenię Sylwię Grzeszczak. Ona robi taki witraż ze słów i muzyki, jest to niezwykle uzdolniona osoba. Bardzo cenię Festiwal Piosenki Aktorskiej we

Wrocławiu. Ma obłądną ilość wspaniałych wykonawców. Według mnie to jest fenomenalny prezent dla kultury polskiej. Jeśli chodzi o piosenkę literacką... szkoda, że Leszek Długosz nie ma następcy. Wiadomo, że artyści w moim wieku na pewno tęsknią do młodości – po pierwsze. A po drugie do oprawy muzycznej. Na przykład aranż z dzwonami zrobiony przez Bogusława Klimczuka do mojej piosenki „Zawstydzona”... Oprawa, o jakiej się w tej chwili nikomu z młodych nawet nie śni. Z orkiestrą Klimczuka wystartowałem w Opolu i Sopocie. Pamiętam orkiestry Rachonia, Miliana. Może konwencjonalne, ale obłądnie fantastyczne, przepięknie brzmiące. To nie były aranże robione do jakiegoś widowiska na kolanie. Wszystko było przemyślane, to był muzyczny teatr! Teraz nie ma takiej orkiestry, która byłaby zaopiekowana i czuła się potrzebna. I dawała satysfakcję wykonawcom. A wykonawcy w tej chwili nawet nie wiedzą, że jest taka możliwość, bo im los tego nie podsunął. Bo albo nie było pieniędzy, albo wyobraźni. Po prostu jeżeli ktoś prowadzi taką działkę artystyczną, cokolwiek by to nie było, to musi mieć wyobraźnię. To nie może być kiosk z byle czym.

*



Krzysztof Cwynar z żoną Jolantą i dyplomem „Kociarza roku”,
fot. Zbigniew Rabiński – prywatne archiwum Krzysztofa
Cwynara, źródło: wikipedia

DWADZIEŚCIA KOTÓW I STUDIO INTEGRACJI

Krzysztof Cwynar miał zawsze wielkie serce dla zwierząt. Często zdarzało się, że przynosił do domu koty po wypadkach. Na szczęście jego żona również je kochała.

- W którymś momencie mieliśmy ich ponad dwadzieścia. I jeszcze dwa psy, chomika i gołębia. Kiedyś przyjechała z Australii Ela Ostojska, była wokalistka zespołu „Pro Contra”. Jak ona weszła do naszego domu, to ta cała hałastrą poszła do przedpokoju, żeby ją przywitać. No to był ruszający się dywan! Ona powiedziała: „Boże, ile tu jest zwierząt!”, a ja próbując ratować sytuację powiedziałem „Nie, jest ich mało, tylko one się

tak szybko przemieszczają” – wspomina z uśmiechem artysta.

Zachwycony wierszem Wisławy Szymborskiej „Kot w pustym mieszkaniu”, skomponował do niego muzykę i nagrał piosenkę. Wysłał ten utwór do noblistki i bał się, że będzie awantura, że stworzył go bez jej zgody. A dostał podziękowanie od jej sekretarza, Michała Rusinka. – Zawsze ją uważałem za pomnik poezji polskiej. Była to wyjątkowej klasy i krasa osoba. Jest wielu poetów, którzy widzą życie w podobny sposób, ale żaden z nich nie potrafił tak trafnie i, jak trzeba, z takim poczuciem humoru podejść do rzeczy absolutnie tragicznych – uważa artysta.

Krzysztof ma też serce otwarte dla ludzi, szczególnie tych pokrzywdzonych przez los. Od 1997 r. jest prezesem działającego w Łódzkim Domu Kultury Stowarzyszenia Studio Integracji. W organizowanych przez niego zajęciach mogą wziąć udział wszystkie osoby, które posiadają orzeczenie o niepełnosprawności, potrafią śpiewać i lubią występować na scenie. W 2007 r. Studio Integracji zostało wyróżnione statuetką Państwowego Funduszu Osób Niepełnosprawnych.

Kiedyś niepełnosprawność dziecka była jakąś porażką dla wielu rodzin. Teraz rodzice i opiekunowie inaczej to traktują. Prowadzimy rehabilitację przez sztukę dla osób z różnymi rodzajami niepełnosprawności. Dwa razy do roku – w czerwcu i październiku – organizujemy w łódzkim Teatrze Muzycznym

koncerty, w których obok osób niepełnosprawnych występują też profesjonalni artyści. Współpracuje ze mną Anna Pietrzak z zespołu „Partita” – opowiada artysta.

Jest autorem i kompozytorem piosenki zatytułowanej „Z ludźmi dla ludzi”. Wyraża w niej swoje pragnienie, aby świat choć trochę zmienił się na lepsze. On wierzy, że to możliwe. I swoimi czynami to potwierdza. Przecież tak niewiele potrzeba:

(...)

Z ludźmi dla ludzi

Polityko

Może wtedy też i ty z uśmiechem się obudzisz

Przeciw ludziom zagrań twych świat dość już ma

Z ludźmi dla ludzi

Nigdy przeciw ludziom, zawsze za (...)

I niech piękne, wzniosłe hasła

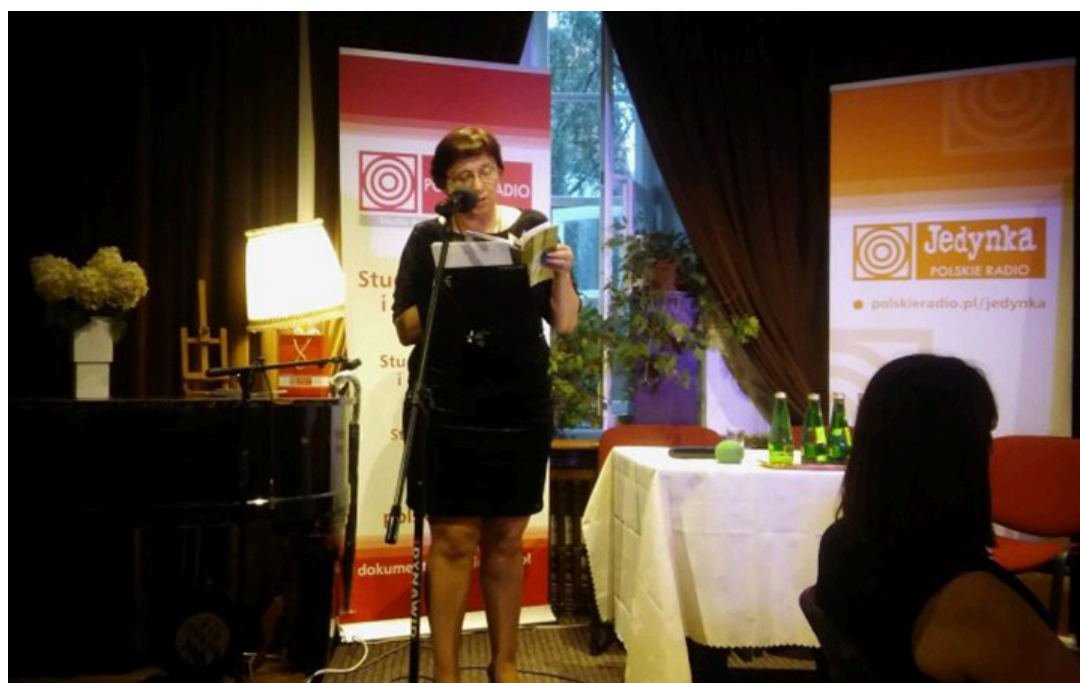
Dadzą im do chleba masła

Dzieci niech nie wiedzą, co to głód

Niech nie puchną lewe konta

Niech bałagan ktoś posprząta

Biedni ciągle liczą na ten cud.



Maria Duszka podczas wieczoru z okazji 77 urodzin Krzysztofa Cwynara w warszawskim Klubie Księgarza, 2019 r., fot. arch. autorki



Zobacz też:

Jesień

Dorota Górczyńska-
Bacik i Remigiusz
Juśkiewicz
na Międzynarodowym
Festiwalu

Monospektakli MonoWschód w Wilnie



Wilno, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-Bacik

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz (*Wielka Brytania*)

„Najważniejszy jest aktor!” – pod takim hasłem został oficjalnie otwarty i zamknięty 6. Międzynarodowy Festiwal Monospektakli MonoWschód, który odbywał się od 26 października do 30 października 2022 roku na Litwie. Spektakle

prezentowane były przede wszystkim w Wilnie, ale także w Trokach i Rudominie. Z tej okazji, podobnie jak w ubiegłych latach, wschodnich sąsiadów Polski odwiedziła, mieszkająca na co dzień w Wielkiej Brytanii, Dorota Górczyńska-Bacik (aktorka, poetka, malarka, dyrektor polonijnego *Teatru Katharsis*) wraz z Remigiuszem Juśkiewiczem (muzykiem, wokalistą i kompozytorem, autorem audycji muzyczno-kulturalnej *Remiza* oraz laureatem 3. nagrody Międzynarodowego Festiwalu Piosenki Sanremo Senior '22).



Festiwal Monospektakli w Wilnie, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-Bacik

Artyści zaprezentowali program pt. *Nie-dopasowana do dźwięków*, inspirowany tytułem najnowszego tomiku Doroty. Publiczność zachwyciła się ich występem, którym zabrali widzów w świat poezji i muzyki. Z całą pewnością wrócą więc do Wilna za rok. Poetka, choć wystąpiła w duecie, z całą pewnością swoją

aktorską interpretacją własnych utworów lirycznych wpisała się w królujący na festiwalu monodram, dający niepowtarzalną okazję do zaprezentowania pełnego wachlarza jej umiejętności. Jest to tzw. „solo estradowe” – gatunek trudny i wymagający, ale jednocześnie przynoszący szczególną satysfakcję. Prezentacja Doroty i Remiego stanowiła jeden z najbardziej muzycznych spektakli zaprezentowanych tego roku, obok *Być jak Charlie Chaplin* w wyk. Mateusza Deskiewicza (solisty Teatru Muzycznego w Gdyni). Warto podkreślić, że śpiewu było znacznie więcej m.in. za sprawą Stanley’a Łopuszyńskiego i Doroty Sacewicz, którzy prowadzili wieczorny program pt. *Pieśń, Kabaret, Recital*.

– *Wilno, kochane Wilno!* – mówi Dorota Górczyńska-Bacik zapytana o emocje, jakie towarzyszyły jej w tym roku, dodając – *Trudno w kilku zdaniach powiedzieć o tym, wszystkim czego za każdym razem doświadczam podczas Festiwalu. Mogłabym opowiadać godzinami. Jestem szczęśliwa, że mogę być częścią tego przedsięwzięcia, a od pewnego czasu towarzyszy mi też mój serdeczny przyjaciel i muzyk, Remi Juśkiewicz.*

– *Mamy już w stolicy Litwy swoją publiczność. Pamiętają nasze piosenki sprzed roku, śpiewają z nami również te nowe. Czego tu chcieć więcej?* – żartuje Remi Juśkiewicz, jednocześnie podkreślając – *Dla mnie ważne były, poza doznaniem artystycznymi, warsztaty multimedialne, które mogą pomóc*

mi w rozwijaniu audycji „Remiza”.



Wilno, Ostra Brama, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-Bacik

Program tegorocznego festiwalu był niezwykle bogaty: spektakle, recitale, warsztaty teatralne, spotkania z artystami i twórcami, którzy przyjechali z kilku krajów europejskich: Anglii, Litwy, Niemiec, Polski, Szkocji i Ukrainy.

- Celem projektu jest stworzenie aktorowi szansy spotkania sam na sam z widzem, by się mógł dla nich otworzyć, podzielić się

swoimi przeżyciami, problemami i krytycznym spojrzeniem na coraz trudniejszą rzeczywistość. Tym samym widz ma szansę na odróżnienie dobra od zła – mówi Lila Kiejzik, dyrektorka Polskiego Teatru „Studio” w Wilnie i tegorocznego Festiwalu MonoWschód.

Organizatorem wydarzenia był Polski Teatr „Studio” w Wilnie przy wsparciu Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, a finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów RP w ramach konkursu „Polonia i Polacy za Granicą 2022”. Odbywał się on pod patronatem honorowym Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. Piotra Glińskiego.

<https://kuchniawolosiewicz.blogspot.com/>

Artykuł publikowany był w „Kulturze” i „Polonia24”.

*

Zobacz też:

„Piosenki na koniec tygodnia” – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu

Spotkania z poezją – projekt literacki Doroty Górczyńskiej-
Bacik z Dunstable, UK

Wileńskie miniatury

Romuald Mieczkowski (*Wilno*)



Wilno, Zaulek Miłosierny, fot. Romuald Mieczkowski

Fura książek

To był wstrząsający widok. W odrapanym podwórzu od ulicy Ułańskiej, dokąd dostarczyłem szafę, kiedy w czasie okupacji zarabkowałem na życie przewozami, z rozwalonej biblioteki koszar właśnie wyrzucono setki książek. Poniewierały się one w błocie, wiatr przewracał strony, unosił strzępy wyrwanych kartek. Przenikający listopadowy chłód sprawił, że przechodniów było niewiele, od czasu do czasu stuknęły podkute buty Niemców. Podniosłem jedną książkę. Potem drugą, trzecią, czwartą... Wybierałem najładniejsze, solidnie oprawione tomy, przeglądałem krótko i składałem do wozu; po chwili ładowałem je jak leci, bez spoglądania nawet na tytuły. Znieruchomiałem parokrotnie, kiedy doleciała mnie obca mowa, ale nikt nie zwracał uwagi na wychudłego i marnie ubranego młodzieńca. Książki przykryłem brudną płachtą i ruszyłem w stronę rogatek miejskich.

O zmierzchu szczęśliwie dowlokłem się do domu. Zatrzymałem konia koło obory, dosypałem obroku i zadowolony z siebie odrzuciłem płachtę - nikt u nas nie widział tyłu książek. Kiedy zobaczył je ojciec, w milczeniu wysłuchał moich wyjaśnień, potem bez słowa zawrócił konia i wysypał książki za szopą. Długo nie mógł rozniecić ogniska, a gdy wreszcie zapłonęło ono, długo też ogień nie mógł strawić wilgotnych tomów.

Ściemniło się. Ojciec dorzucał wciąż chrustu i drwa, a potem pilnował, żeby wszystko dopaliło się do końca. Łzy kręciły mi się w oku, serce kołatało mocno. Pod kapotą miałem schowaną maleńką książeczkę. Jej tytuł odczytałem dopiero potem – był to „Latarnik” Henryka Sienkiewicza.

*

Fundament pod przyszły dom

Z przyjacielem mieliśmy zwyczaj zwiedzania zamkowych ruin, jakie można spotkać na naszej ziemi. Z każdej takiej wyprawy przywoziliśmy po starej cegle. Poniewierało się ich mnóstwo pod nogami. Dziesiątki takich cegieł, z kredą znaczonymi zapisami, zgromadziło się w mojej piwnicy. Syn mi zaproponował:

- Tato, a może z tych cegieł zbudujemy sobie dom, historyczny i mocny...

*

Reanimacyjne paradoksy

Nocą nastąpił kryzys. Lekarz dyżurny gdzieś przepadł, siostra nie była w stanie pomóc, więc pacjent rozpaczliwie błagał o wywołanie do szpitala ...karetki pogotowia.

*

W poszukiwaniu pointy

Życie tak wartko płynie. W bezmiarze spraw miałych i alkoholu zatracamy talenty, w rozmowach długich i jałowych ulatują bezpowrotnie chwile. Jak zachować je dla rzeczy ważnych?

O tym właśnie bezskutecznie przy szklaneczce rozmawialiśmy aż trzy godziny grubo po północy...

Zobacz też:

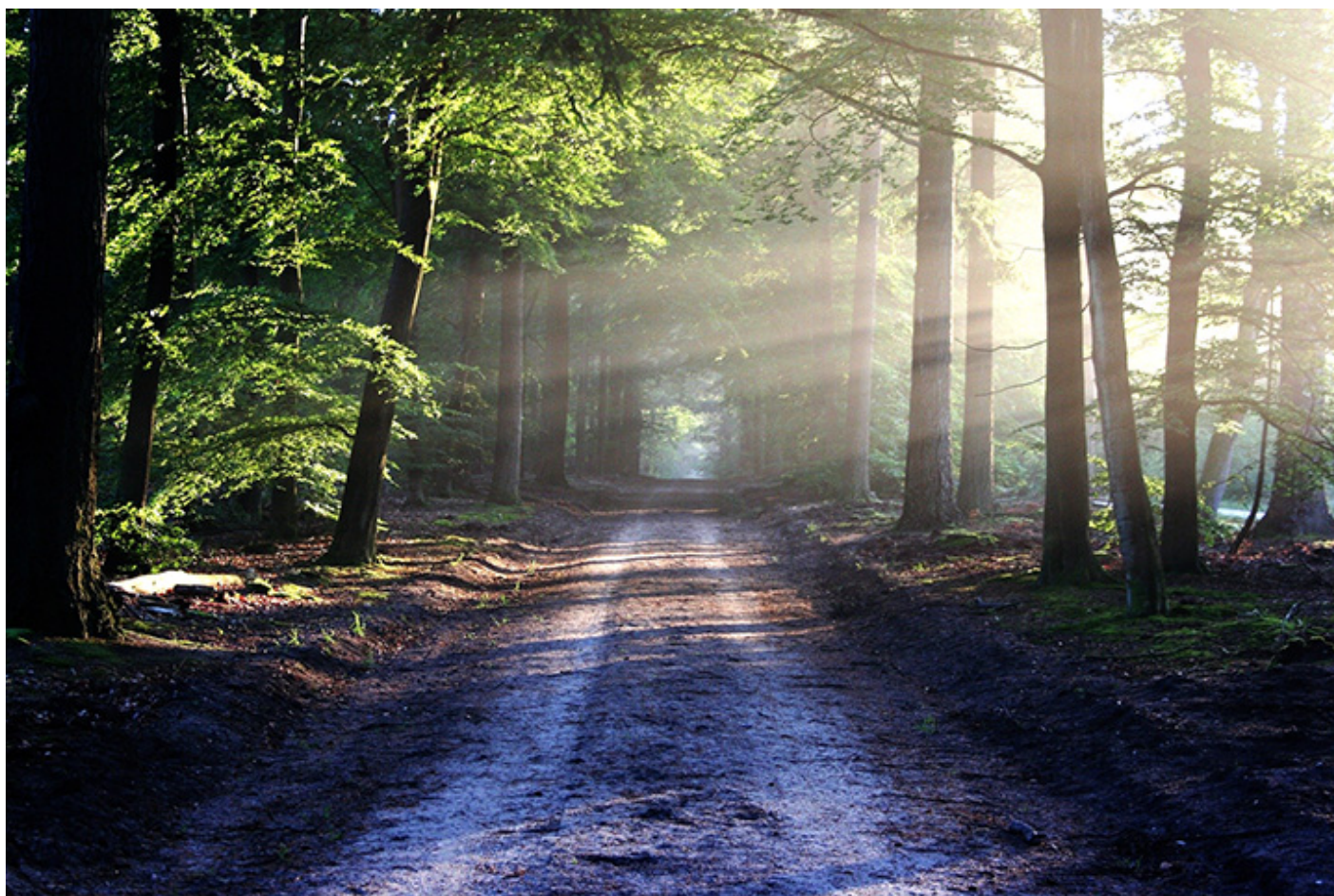
Staruszka z Zamkowej 42

Dziadek Władysław

Szkoła po sąsiedzku

Objazdowe kino

Polskie drogi



Fot. bertvthul z Pixabay

Aleksander Lewicki (*Wilno*)

Wielokulturowe jest społeczeństwo, w którym żyję i wieloma językami muszę mówić na co dzień... Jestem Polakiem z Kresów i moje serce jest na wskroś polskie! Moje skomplikowane i trudne życie rozdziera mnie na co najmniej trzy kraje. Po przesunięciu granic terytorium polskiego w stronę zachodnią, moje polskie korzenie z racji urodzenia, zostały na Białorusi, miasto Wilno na Litwie dało skromny dom, w języku rosyjskim musiałem się kształcić... Razy za polskość dostaję do dziś... Języka ojczystego nauczyłem się sam i takiz On jest: starodawny, przez niedouczenie chropowaty, ale jakże kochany, serdeczny, najpiękniejszy! Żyję samotnie i całe życie szukam miłości tej prawdziwej, jedynej. Czasem wydaje mi się, że doganiam - ale to tylko cień... Posiadam jednak Skarb wielki, Skarb głębokiej wiary w Boga Stwórcę Jedynego. Upadam i wstaję podnoszony Jego Zbawczą Ręką. Wszystko wytrzymałem i wszystko z Nim wytrzymam... Chciałem grać - nie dano, chciałem lepić - wyśmiano, chciałem wyżej się kształcić - trudy życia i władza nie pozwoliły dokończyć studiów. Poezji i polskiego myślenia nikt mi z serca nie dał rady wyrwać... Dzięki Ci Boże za ich ocalenie!!! Tak żyłem i tak umrę...

Pozdrowienie z Wilna...

Z tych ziem dalekich, z tych ziem zabranych,
Takich Ojczystych i Ukochanych!
Z naszego Wilna śniegi Wam proszą
Swoją tęsknotą niech serca wzruszą.
Pamięć ożyje i serce drgnie,
Dzwony zadzwonią jakby to we śnie...
Wileńskie dzwony zadzwonią Wam,
Lęcą ukłony z Wileńskich bram...
Lęcą od Wilna, przez Polskę całą
Im jest tak pilno, nie bijcie "brawo".
A tylko sercem słuchajcie nas,
Bo czas nadchodzi, nadchodzi czas...
Odkryjcie oczy, podnieście czoła!

z Ostrej Bramy, Matka zawoła:

„Wy moje dzieci umiłowane

Po całym świecie tak rozsypane!”

Od swojej ziemi, od ludu swojego,

Prosimy Boga, bo jest potrzeba.

By serca nasze do Was tęskniły.

Nikt nie rozdzieli, nie ma tej siły!

Polak nie zginie i Polska też!

Ostrobramska, chroń nas i strzeż!

Wileńska Rossa...

Zima, mróz i chłodny wiatr,

Wieje, bije, rozszarpuje...

A mnie woła, czeka Rossa,

Chłodnym rankiem tam wędruje...

Widzę z dala wzgórze Krzyży,

Jeszcze chwila-moment cały...

I odkrywa się mnie Rossa,

Wielkiej Dumy, Polskiej Chwały!

Nawet wiatr z pokorą ścicha

Hołd oddaje, saltuje!

Serce moje ciężko wzdycha,

Bóg Jedyny wie, co czuje...

Jak żołnierze-Wasze groby

Otoczyli Wodza swego,

Zakrywając sobą, sobą...

Stoicie tak dnia każdego!

Ile burz i ile grzmotów,

Rozdzierało się nad Wami...

Byliście jak ta Piechota,

Zawsze pierwsze, wciąż-Ci sami!

Zawsze z Bogiem i Honorem,

Za Ojczyznę i lud cały...

Oddając swoje życie,

Żeby innych życie trwało!

Schylam głowę ja z Uznaniem...

I odmawiam „Anioł Pański”.

Jestem dumny, bardzo dumny,

Żem człek polski, nie pogański!



Wilno, cmentarz, fot. omek999 z Pixabay

Dla - Polaka z Ameryki CZY Z INNEGO KRAJU...

Przyjechałeś - kochany z daleka,

Ameryka - czy inny to kraj.

A tu - Wilno, tak tęskni i czeka

I, odkrywa - Ci - serce - naj, naj!

Jakże, chce - Ciebie - Wilno, całować

I do serca, przytulić, jak - Syna.

Swoją Miłość - Ci, chce - podarować

I, zatrzymać - spotkania - godzinę!

Ostra Brama i... Matka - spoziera,

Zatęskniona, jak Matka kochana.

I tak czule, Ci - czoło, ociera

I całuje, gdzie - jest... twoja - rana!

Błogosławi - całe, Twe życie

I - ofiarność - co Polsce oddałeś,

I - spokojem - Twe serce - nasyci...

Bo - prawdziwie - Ty - Polskę - kochałeś!

Polacy

Polacy, polskie dzieci!

Rozrzucone jak nasiona.

Gdzie was nie ma, na tym świecie.

Polską krwią ziemia skropiona.

Choć kropelka, choć niewielka.

W każdej cząstce ziemi jest.

Bo ten Polak, jak muszelka!

Co ma w sobie perłę nieść.

Nie dajmy tylko utracić wiary.

Nie dajmy zrzec się Polskości!

Nie zapomnijmy „krwawe te dary”.

Kochanych przodków, co już w wieczności.

Nie zapomnijmy o Ojczyźnie!

O nas Polakach rozrzuconych.

Co żyją w biedzie na obczyźnie.

Poniewieranych, osieroconych.

I kiedy ktoś z nas jest bogaty.

A ktoś biedny przez całe lata.

Nie odrzucajmy swojej ręki.

Z miłością czułą przytulmy brata.

Nikt z nas nie winny, że tak żyjemy.

Ojcowie nasi oddali życie!

Lecz była siła od nas odmienna.

Co podzieliła nienależycie.

Polacy, polskie dzieci!

Ku chwale swojej w jedności wytrwajcie.

Do końca życia to przenieście.

Bóg, Honor, Ojczyzna - to pamiętajcie!



Wilno, stare miasto, fot. dmvl z Pixabay

Polskie drogi

Chodzę po lesie, pytam naokoło.

Czyja to własność, słyszę ktoś woła.

Stoję, tak stoję, tak zasłuchany.

Leśną pięknnością oczarowany.

Tymi liśćmi, tymi wrzosami.

Leśną muzyką i gałęziami.

Wśród tej piękności, głos szepce, mówi.

Polsko, ta ziemia tobie tak szumi!

Polskie te drogi, które zarosły.

Ciebie prowadzą, do siebie w goście.

One prowadzą do polskich domów.

Gdzie lasy z trawą szumią dokoła.

Do tych prześlicznych polskich ogrodów.

Których zapomnieć serce nie zdoła.

Drogi, wy drogi, dokąd wiedziecie!

Przecież naokoło szumi ten las.

Gdzie wy te domy polskie znajdziecie.

Rozkradli, spalili, zaborów był czas.

A drogi mówią, drogi nasz synu!

Pamięć nas nie zawiedzie.

Dla nas jak dawniej, Polska jedyna.

Choć podzielona jest na tym świecie.

Dla nas jak dawniej, chce się tych domów.

Polskiej rozmowy i ludzi kochanych.

Chce się prawdziwych mieć gospodarzy.

Tych, co kochają i dla ziemi oddanych.

Donieś, prosimy my ciebie, do ludzi.

Że ziemia pamięta i kocha.

Pamięć nasza, niech lud obudzi.

Ziemia czeka, tęskni i szlocha.

Zobacz też:

„Noc” i inne wiersze z Wilna

Wilno w poezji i obiektywie

Myślą gonię

do Macierzy

Irena Duchowska (*Wilno*)



Irena Duchowska

Ma Ojczyzna

Ma Ojczyzna,

to -

krzyże przy drodze,

gniazda bocianie,

łany zbóż złocistych,

wierzby płaczące,

białe lilie w jeziorach,

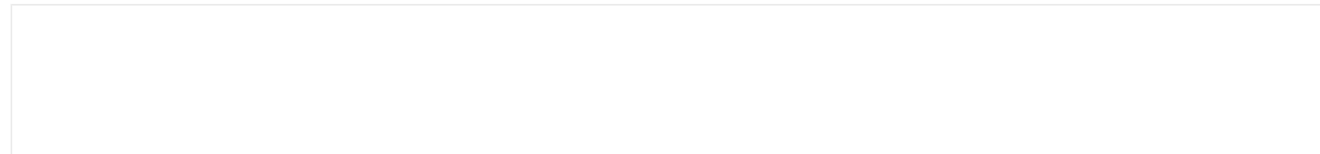
lasy bogate w jagody i grzyby,

tęcza w deszczu srebrzystym,

stada żurawi na niebie,

kolorowe drzewa jesienią,
zaspę śnieżną zimą,
wieże kościołów wileńskich,
rodzina i bliscy,
swojska mowa...

Sny



Do swej wileńskiej

Ojczyzny

wracam w snach.

Widzę ojca na pasiece

otoczonego

głośnym rojem pszczół,

czuję aromat

kręconego w ogromnej centryfudze miodu,

niezapomniany zapach siana

w sadzie.

Przed domem

widzę mamusię

ścinającą kwiaty

dla księdza

do kościoła

rodzinnego gniazda,

źródła energii...

Tam dla mnie:

płakały brzozy,

obiecały zakwitnąć paprocie,

szumiał gaj za wygonem,

na kępie czerniały jagody,

okalały polankę poziomki,

lipy chroniły sad,

sadzawka lśniła od słońca,

skrzypiał żuraw przy studni,

wiosną klon dawał swój sok,

odurzająco pachniał jaśmin i bez,

za sadem, na Jana,

dzieliły swe grona kwiecia akacji,

brzęczały pszczoły z pasieki,

fruwał bociek nad łąką,

jeż z rodzinką mieszkał pod płotem,

mruczał kot tuląc się do nogi,

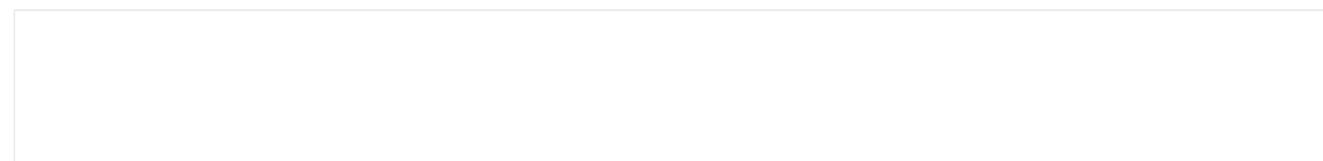
łasił się pies skowycząc radośnie...

Tam dla mnie

zawsze był ciepły kąt...

Już nigdzie

Już nigdzie więcej
nie będzie mi tak błogo,
jak w skromnym, rodzimym domu
na Wileńszczyźnie...



Już nigdzie więcej
nie zakwitnie mi morze kwiecia,
nie będzie takiej altanki
z dumnych georginii,
ani alei z tęczowych róż,
klombu mięty
przeplatanej pyszną konwalia,
bratków na wietrze

przypominających fruujących motyli...

Już nigdzie więcej

nie ujrzę nieba

utkanego z niezapominajek...

Już nigdzie więcej

nie odurzy mię tak silnie

zapach siana...

Już nigdzie więcej

nie będzie mi tak błogo!

Tęsknota

Goniona tęsknotą

wracam w rodzinne strony,

do źródła gejzerów ciepła,

którym kiedyś tchnął każdy kąt,

pod rozpostartymi

ramionami krzyża,

składam brzemię swych trosk,

by móc dalej iść...

Nostalgia

Uziemiona w centrum Litwy

Myślą gonię do Macierzy.

Stale muszę staczać bitwy,

Któż nostalgiię moją zmierzy?

Trzeba walczyć o szacunek,

Orła dumnie w duszy nieść,

Dbać o Polski wizerunek,

Sercu Syna oddać cześć!

I jak żołnierz stać na warcie

Bez strachu szkody karierze,

Polskości broniąc zażarcie

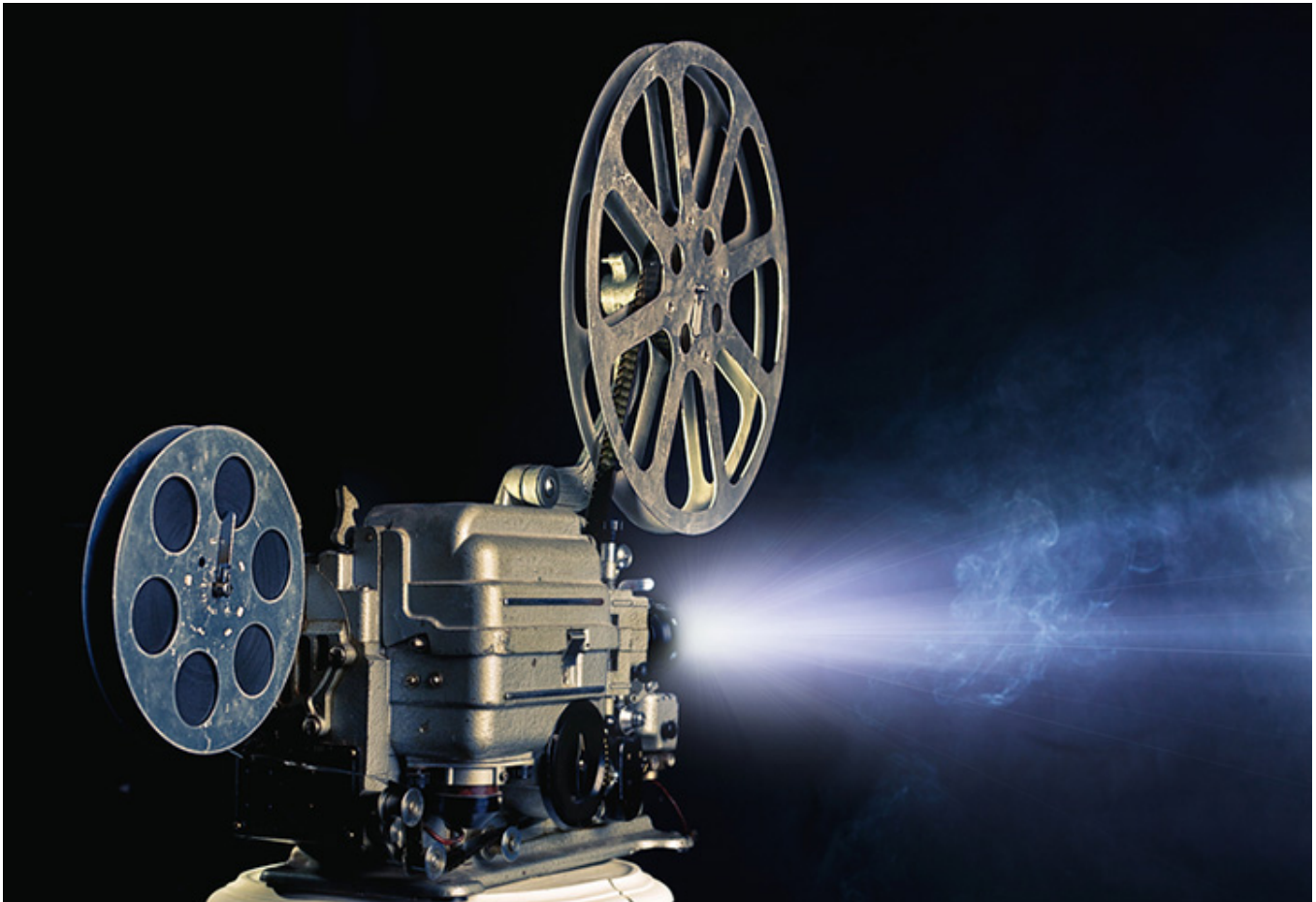
Los mój Panu powierzę.



Irena Duchowska

Irena Duchowska (ur. 24 lipca 1955 w Słomiance) – urodzona i mieszkająca na Litwie polska poetka, pedagog, działaczka społeczna, wielokrotnie nagradzana za krzewienie języka oraz kultury polskiej na Litwie. Uhonorowana Srebrnym Krzyżem Zasługi RP za wybitne zasługi w propagowaniu kultury polskiej. (Wikipedia)

Objazdowe kino



Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Z początku pojawiał się on, najczęściej na motocyklu, w podniszczonej czarnej skórzanej kurtce i przekrzywionym na bok berecie, sypiący dowcipami i uśmiechnięty, obiekt zazdrości chłopców i westchnień dziewczyn.

Niektórym z nas podawał rękę, co było szczególnym wyróżnieniem, potem najbardziej zaufanym wręczał cienkie rolki papieru. Były to afisze, na których chemicznym ołówkiem, zamasyście i z wykrętami wypisano nazwę filmu. Wyruszyliśmy rowerami z nimi w różne strony i już wkrótce

afisze widniały na przystanku autobusowym, przy sklepie, a także na studniach, słupach i płotach.

Po południu z miasta nadjeżdżał samochód, który pod pustą stodołę przywoził sprzęt i metalowe pudełka z filmem. Kinomechanika osaczali stali bywalcy, mężczyźni, którzy częstowali go papierosami i wódką. Na olbrzymią, co najmniej stuletnią lipę, wciągaliśmy skrzynie z głośnikami, podłączone do wzmacniacza – po czym rozpoczynał się wielki koncert.

I płynęły melodie w ciepłe niedzielne popołudnie ponad dachami chat, sadami, zgarbionymi od ciężaru dojrzewających jabłek i ogrodami, pełnymi wonnej maciejki. Były to dźwięki o magicznej sile – przywoływały ludzi na ganki, niektórzy wynosili zydle przed domy, zbierali się grupkami. Muzyka wyzwalała żarty, sprzyjała snuciu rozmów, czyniła nastrój świątecznym. „Cicha woda”, „Wiśniowy sad”, „Dzieci Pireusu”, „Besame mucho” – to tylko pierwsze z brzegu tytuły największych przebojów z tamtych lat. Były one puszczane po kilka razy z rzędu – dziewczyny tańczyły ze sobą, a chłopcy je zaczepiali z papierosami w zębach, śmiejąc się i czyniąc głośne uwagi.

Płyty puszczał największy po kinomechaniku specjalista – chłopak, który przyjeżdżał do krewnych z miasta. Głuchy na wszelkie prośby, konsekwentnie realizował swój repertuar, zresztą dużego wyboru nie było. A tymczasem przy wejściu do

stodoły na stojaku stał już zmontowany projektor, na przeciwległej ścianie jaśniało prześcieradło ekranu. Powoli zapadał zmrok, chowające się za horyzontem słońce gubiło ostatnie promienie, ale niebo było jeszcze jasne.

- Zaczynaj, zaczynaj! - rozlegały się głosy przed stodołą. Ze wszystkich stron na rowerach i motocyklach, pojedynczo i grupkami wciąż napływali ludzie. Kinomechanik jeszcze kilkakrotnie pytał o godzinę, potem w towarzystwie swych pomocników zaczął wypraszać z „sali” niecierpliwych: rozpoczynała się sprzedaż biletów. Powstawał z tym pewien mankament, bo ciągle ich brakowało i trudno było określić, kto już płacił, a kto nie. Zwiększało się grono pomocników, które też nie kwapiło się do płacenia, długo pomocnicy wyliczali swe zasługi i zwlekali. W dodatku stodoła była nieszczelna... Tłumy napierały, domagano się filmu, muzyka już nie grała. Szczęśliwcy usadawiali się w najlepszym miejscu - w pobliżu ekranu. Kiedy wszystkie ławki zostały zajęte, siadano gdzie się tylko dało - na skrzyniach i różnych pudłach, kawałkach desek, wreszcie na toku, to jest na ubitej ziemi. Sprytniejsi wdrapywali się wysoko aż pod dach - na belki i rozłożone na nich drągi, lokowali się na mocowaniach stodoły. Mistrz wieczoru machnął w końcu ręką na wchodzących na gapę i zakrzętał się przy aparaturze.

I oto zgasła jedyna żarówka, zawieszona wysoko na drucie. Jak świętojańskie robaczki rozjaśniały ogniki papierosów wbrew

surowemu zakazowi palenia. Przez moment było tak cicho, że słychać było odgłosy szczekania psów, potem rozległ się chichot, szybko zagłuszony przez gwizdy i tupanie nogami. Ktoś krzyknął: „Majstra na mydło!” - i w stodole zapanował nieopisany rozgardiasz. Ale oto smuga światła prześlizgnęła się ponad głowami, przesączaając się przez kłęby dymu i rozbłysła na ekranie. Ostrość obrazu pojawiła się nie od razu, lecz nie była to sprawa istotna - wszak na napisy i tak nikt nie zwracał uwagi. Po chwili wszyscy żyli losami bohaterów filmowych, a troski ulatywały gdzieś daleko - i nie daj Boże, żeby się urwała taśma!

Siedzieliśmy z zapartym tchem blisko ekranu, a przed nami snuł się świat daleki i wyśniony, w którym tak wiele się działo! Jakimże kontrastem wydawał się on wobec dusznej stodoły, w której mieszały się zapachy taniej wody kolońskiej i siana, samogonu i cebuli, potu i łuskanych pestek... Ta dziwna mieszanina zapachów kojarzy mi się jednak dzisiaj z niekłamanym urokiem objazdowego kina. Kina, które zawsze miało happy end.

Staruszka z Zamkowej 42



Wilno, ul. Zamkowa

Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Przechodziłem obok niemal codziennie. Nie pamiętam, od kiedy zaczęło mnie intrygować skromne mieszkanko przy ulicy

Zamkowej 42, *vis á vis* cerkiewki piatnickiej. Nie zwróciłbym chyba uwagi na to wcale, gdyby w tej części starówki nie zaczęła zachodzić wielka zmiana. Po otwarciu punktu usługowego Fuji Film - o jasnych kolorach, nieskazitelnym połysku okna-witryny, zainteresował mnie kontrast. Nie tyle między tynkiem, pełnym zacieków i liszajów, a odremontowanym kwadracikiem Fuji, co między sąsiadującymi ze sobą drzwiami. Jedne - eleganckie, przeszklone we wzorki, o lśniących klamkach, drugie - dosłownie metr dalej - odrapane, ze szczelinami, drażnionymi przez pazur czasu, poobijane, z powyginaną framugą, sterczącymi gwoździami, jakimś rdzawym żelastwem, które służyło za klamkę.

Wtedy i pojawiła się ciekawość dowiedzenia się, co się kryje za tymi szpetnymi drzwiami, za oknem, w którym kwitły pelargonie na tle żółkłej firanki.

Mieszkanekę tego kąta ujrzałem pewnego wiosennego, ciepłego popołudnia. Stara i zgarbiona, siedziała na mocno sfatygowanym, staromodnym krześle, owinięta chustą, patrzyła w dal. Ponad gwarny plac przed cerkwią, gdzie uliczni handlarze obrazami głośno i natarczywie zachwalali swój kiczowaty towar. Siedziała w otwartych drzwiach, obitych oberwaną miejscami ceratą, spod której wyłaziły kawałki brudnej waty. W drzwiach poruszała się na lekkim wietrze kotara o nieokreślonym, wypłowiałym kolorze. Na kolanach trzymała białego kota w czarne ciapki. Nie licząc

ścian, w tym miejscu miasta kobieta tworzyła jedyny punkt nieruchomy.

Potem staruszkę, siedzącą na swym krześle, z nieodłącznym kotem na kolanach, w okresie letnim widywałem często, przez parę lat stale. Pojawiała się, kiedy świeciło słońce, czasami była opatulona w ciepłe łachmany. Szczelnie zawiązana chustka świadczyć mogła o chorobie uszu, wydawało się, że mogła mieć problemy i ze wzrokiem. Była jakby nieobecna, niedzisiejsza, przypominała epokę, która dawno minęła.

Parę razy chciałem do niej zagadać. Kiedy raz powiedziałem „Dzień dobry”, kobieta pozostała nadal nieruchoma jak posąg. W jej oczach jednak pojawił się niepokój. Nie ponawiałem więc dalszych prób nawiązania rozmowy. Czasem, kiedy przechodziłem obok i widziałem ją w tej samej zastygłej postaci, miałem wrażenie, że to fatamorgana, jaka nawiedza zakątki miasta, w których do późna płynie gwarny potok ludzki, gdzie nie ma miejsca na zatrzymanie się i chwilę zadumy. Żeby nie spłoszyć kobiety, pozdrawiałem ją z daleka kiwnięciem głowy. Choć trudno powiedzieć, czy choć raz odwzajemniła tymże, to w jej oczach już nie było niepokoju, jaki odczułem przy pierwszym powitaniu.

Tymczasem obok przybywało eleganckich biur, restauracji i kawiarni, sklepów z zagranicznymi towarami i napisami.

Większość mieszkań zmieniła swych właścicieli, w tynkach pojawiało się coraz więcej odnowionych fragmentów. Miasto niczym ciasto pozyskało wiele słodkich dodatków, ale jakby bez kalorii. Pojawiały się wciąż sklepy o nowych zapachach, dekoracje w postaci sztucznych palm, innych egzotycznych roślin, znaki renomowanych firm w nocy rozświetlano kolorowymi światełkami, które odbijały się w lustrach witryn.

Staruszka nadal miała jedno swoje okno na świat. Z popękkanymi, zakurzonymi szybami, lufcikiem, zamykanym na przedwojenny haczyk. Wciąż te same uporczywie kwitły pelargonie. Wciąż te same drzwi, w których siedziała na tym samym krześle, łączyły ją, a może oddalały ze światem zewnętrznym. Tak samo też była ubrana - ze swą nieodłączną chustą. I wzrokiem, utkwionym w dal.

Kiedy wróciłem z krótkiej podróży, przy Zamkowej 42 nie zobaczyłem dawnego, zastygłego w czasie widoku. W oknie, gdzie kwitły pelargonie, niczym na zdjęciu z kolorowego magazynu, w subtelnym oświetleniu ułożone były wyszukane akcesoria maleńkiego, lecz bardzo ekskluzywnego sklepiku z herbatą. Sympatyczna ekspedientka, kiedy wszedłem nareszcie do dawno obserwowanego pokoiku, z uśmiechem i pewna dozy kokieterii doradzała mi, jaką wybrać herbatę. Ostatecznie poprosiłem o pudełeczko Earl Grey'a. Dość długo i bardzo pięknie je opakowywała. Pomyślałem o starej brzydkiej kobiecie i

nie potrafiłem już jej wyobrazić sobie mieszkającą w tym miejscu.

Czy ona kiedyś w ogóle tu była?



Wilno, ul Zamkowa. Dawna pocztówka.